

Katarzyna
Nowosielska
Hiszpańska
córka

Copyright © by Katarzyna Nowosielska
All rights reserved

Redakcja i korekta:
Anna Skóra

Korekta po składzie:
Anna Kopaczewska

Projekt okładki, skład i łamanie:
Studio Graficzne Maribook

Ilustracja na okładce:
Studio Graficzne Maribook

<https://kasianowosielska.pl>
<https://www.facebook.com/kasia.nowosielsk/>
https://www.instagram.com/kasia_nowosielska/

Wydanie I

ISBN
druk: 978-83-971212-7-0
e-book: 978-83-971212-8-7

*Dla mojego syna.
Za to, że swoim jestestwem
i złotymi, kręconymi włosami
inspiruje mnie do pisania
i kreowania ciekawych bohaterów*



CZĘŚĆ I





Rozdział 1

Konieczpole, styczeń 1863 roku

WIOSKA LEŻAŁA JAK ukryty klejnot na styku Mazowsza i Podlasia*, otoczona przez majestatyczne lasy, które szeleściły na wietrze jak tysiąc szeptów. Śnieg padał cicho, pokrywając drewniane chaty białym puchem, a dym unosił się z kominów, tworząc nad wsią mglistą aureolę. Dwór szlachecki, z jego kamiennymi ścianami i dachem pokrytym czerwonymi dachówkami, stał niczym strażnik, chroniąc mieszkańców przed zimnem i niebezpieczeństwem, które wisiało w powietrzu.

Wewnątrz dworu młoda lekarka Alicja wpatrywała się w dal przez okno, za którym roztaczała się ciemność. Panowała cisza. Kobieta słyszała wręcz bicie swojego serca. To był tylko pozorny spokój – spokój przed burzą, którą Alicja czuła w każdym napiętym mięśniu ciała. W piwnicach dworu w Konieczpolu jeszcze wczoraj ukrywało się dwóch powstańców, których opatrywała. Jednemu ledwo uratowała nogę przed amputacją, choć i tak nie miała pewności, czy nie wda się

* Na potrzeby tej powieści przeniosłam siedzibę historycznego rodu Koniecpolskich spod Częstochowy w moje rodzinne strony. Hrabioswo Koniecpolscy są postaciami fikcyjnymi, ród wygasł w XVII wieku.





gangrena. Drugi z mężczyzn był w nieco lepszym stanie – miał tylko złamaną rękę.

Kobieta zdawała sobie sprawę, że o każdej porze dnia i nocy można się spodziewać najazdu Moskali. Maniukin, kat Podlasia, węszył wszędzie powstańców i bacznie obserwował, kto ich wspiera. Szukał wszelkich śladów po nich. Szybko bijące serce kobiety jeszcze bardziej przyśpieszało, gdy myślała o partyzantach ukrywających się w pobliskich lasach. Jej myśli krążyły zwłaszcza przy jednym – jej bracie Ignacym. To z jego powodu opuściła Warszawę i niejako przyłączyła się do powstania.

W chwilach zadumy Alicja przywoływała się jednak do porządku i strofowała w myślach: „Alicjo Rettel da Costa Wysockińska, wszak sama tego chciałaś. Ignacy cię nie namawiał. Sama powzięłaś decyzję, aby wyruszyć z nim na Podlasie”.

Tak, kobieta musiała oddać rację tej myśli. Lękała się po raz kolejny stracić brata. Odnalazła go kiedyś w Hiszpanii, później znowu przeżywała rozłąkę z nim, gdy po przybyciu do Warszawy wziął udział w manifestacjach antycarskich i zesłano go na Syberię. Cudem ocalał i wrócił po dwóch latach.

Zaiste bała się utraty kolejnego mężczyzny w jej życiu, chyba bardziej niż własnej śmierci. Wszyscy za szybko od niej odchodzili. Miała przekonanie, że nieustannie zostaje sama na placu boju. Wrażenie to potęgował fakt, że była lekarzem i pracowała w męskim środowisku, w którym koledzy medycy nieustannie podważali jej kompetencje i kwalifikacje.

Postanowiła zatem zrobić sobie przerwę w pracy w warszawskim szpitalu – i miała przy tym cichą nadzieję, że od-





pocznie od codziennej walki. Udając się za Ignacym, kurczo-wo także trzymała się myśli, że go przypilnuje. Choć myśl o „przypilnowaniu” jej brata, który niemalże od dzieciństwa tułał się po świecie, wydała jej się co najmniej kuriozalna. Wprawdzie ciotka Aurelia, która została w Warszawie z jej córką, próbowała wyperswadować bratanicy tę myśl, ale na nic zdały się metody, jakie w tym celu obrała. Jej pouczenia, że Alicja nie powinna się angażować w polityczne zamieszki, gdyż to sprawa nie dla kobiety, wzbudzały w niej jeszcze większą chęć do wyprawy.

Podążyła więc za bratem. Straciła już wszak ojca, później męża, a później jeszcze drugiego męża.

Te myśli, niepokoje, wątpliwości oplatały jej umysł tak ciasno, jak ściśnięta była jej talia gorsetem ukrytym pod czarną suknią. Wiedziała, że w każdym momencie jakiś ranny partyzant bądź jego druh może zakłócić do drzwi i wołać o pomoc.

Zastanawiała się, czy Ignacy żyje. Czy jest bezpieczny? Jej głowie nie dawało spokoju pytanie o to, jak brat poradzi sobie w walce, skoro nie ma jednej dłoni, którą stracił na Syberii. Alicja była też myślami przy córce Kornelii. Wydawało jej się, że dwunastolatka nie powinna odczuwać w Warszawie grozy, która obejmowała we władanie prowincje Kongresówki.

Gdy kobieta spojrzała na swoje ręce, zobaczyła, że drżą. Zdawała sobie sprawę, że nie może pozwolić, by strach ją sparaliżował. Musiała być silna – dla siebie, dla brata, dla córki i dla tych, którzy potrzebowali wsparcia medycznego.





Wioska, z jej idyllicznymi pejzażami i spokojnym niegdyś życiem, była teraz areną niepewności i walki. Ale wśród niepokoju Alicja czuła iskłę nadziei. Wiedziała, że w tym miejscu, gdzie kultury się spotykają, a natura jest tyleż piękna, co surowa, może znaleźć siłę, by przetrwać najtrudniejsze chwile.

W sercu nosiła jeszcze jedną ranę. Ta rozjątrzyła się przez ostatnie miesiące najbardziej. Była niewidoczna, ale przysparzała jej najwięcej problemów. Kobieta próbowała ją zaleczyć, zasklepić, sięgając czasem po alkohol. To jednak pomagało tylko na chwilę. Dręczyła ją bowiem myśl o pierwszym mężu, który miał zginąć dawno temu w Hiszpanii, a kilka miesięcy temu pojawiła się wieść, że być może żyje.

„Opanuj się, Alicjo. Jesteś lekarzem. Musisz powstrzymać te swoje utyskiwania” – zganiła się w duchu.

– Ach, Boże, ratuj! – wyszeptała pod nosem, nie mogąc już dłużej znieść niepokoju i natrętnych myśli, które kłębiły jej się w głowie.

Uznała, że jedyny lek, jaki może sobie zaaplikować, to nalewka wiśniowa. Uśmierzy ból duszy choć na moment. Uspokoi głowę. Podeszła do szezlonga, złapała wełniany szal. Przykryła się nim, gdyż było jej niesamowicie zimno, i opuściła swój pokój. Postanowiła pójść do kuchni. Aby dostać się do niej, trzeba było pokonać kilka pomieszczeń i długi korytarz. Alicja liczyła, że nikt jej nie spostrzeże. Wydawało jej się, że hrabina Koniecpolska udała się już dawno na spoczynek. Służba powinna już spać. Wprawdzie jedna ze służących, Urszula, zajrzała do niej jeszcze niedawno z ofertą pomocy przy rozbieraniu się i nocnej toalecie, ale Alicja ją odprawiła.





Primo – nie czuła, że potrzebuje już się położyć. Ergo – wolała sama przeprowadzać swoją nocną toaletę.

Przemierzała zatem korytarz z nadzieją, że przemknie do kuchni niezauważoną. Miała jednak wrażenie, że choć stawia delikatnie kroki, każda deska skrzypi pod naporem jej ciała, a dźwięk ten rozchodzi się po całym budynku. Słyszała nawet szelest swojej czarnej sukni ocierającej się co jakiś czas o meble, które mijala w salonie. Śnieg sypał za oknem, jakby chciał dać znać, że zima tak szybko nie odpuści. Nie ułatwi to działań powstańcom, którzy skrywali się w okolicznych lasach.

Kobieta znalazła się w końcu w kuchni. Zapaliła dużą świecę i zaczęła się zastanawiać, gdzie kucharka Agata trzyma nalewki. Dotychczas stały one w kredensie w salonie, ale z obawy przed najazdem Moskali, którzy – gdy tylko dostali pozwolenie od dowódcy – wypijali wszystko, co się nawinęło, hrabina Koniecpolska nakazała przenieść je służbie do kuchni.

Alicja domyśliła się zatem, że zostały ukryte w miejscu znanym tylko służbie. Zaczęła gorączkowo szperać za kotarą, za którą stały przetwory warzywne. Alkoholi nie było jednak ani tam, ani pod kuchenką, ani w bocznej spiżarni.

Nagle dostrzegła przeszkloną, niską szafkę niepozornie stojącą w rogu kuchni. Podeszła do niej, za szybą dostrzegła znane jej butelki. Chwyciła jedną szybko w dłoń i poczuła ulgę już na samą myśl, że naczynie jest pełne. Złapała kieliszek, który stał obok, i czym prędzej nalała sobie napoju, który natychmiast trafił do jej przełyku.

Tak, szybko doznała niesamowitego uczucia ulgi. Ciepły, słodkawy płyn rozlał się po jej ciele i przyniósł





przyjemne rozluźnienie. Odeszły uczucie zimna, drżenie rąk i dreszcze, które jeszcze przed chwilą nią targały. Przytuliła opróżniony kieliszek do piersi, przymknęła oczy i uniosła głowę. Stała nieruchomo, jakby chcąc się rozkoszować tą chwilą ulgi, wytchnienia, zagłuszenia galopujących myśli. Zaraz jednak ocknęła się i czym prędzej nalała sobie drugą porcję. Teraz poczuła gorąco w gardle i ciele ze zdwojoną mocą.

Wyobrażała sobie przez moment, że jest na Półwyspie Iberyjskim i obserwuje jedno z najpiękniejszych zjawisk, jakie w życiu widziała: zachód słońca na wybrzeżu w Andaluzji – spektakl, który rozgrywa tam słońce i tańcząca feeria złotych, żółtych, pomarańczowych i czerwonych barw. W tych wspomnieniach pojawiła się nagle czyjaś ręka, która zaczęła ją gładzić po ramieniu...

Nagle coś skrzypnęło, zachrobotało. Alicja wyrwana ze wspomnień aż podskoczyła i upuściła szklanekę, która spadłszy na podłogę, rozbiła się w drobny mak. Wstrzymała oddech. Czy to tylko wiatr? Każda sekunda dłużyła się w nieskończoność. Wyteżyła słuch... Znów szelest – tym razem bliżej. Serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Za drzwiami prowadzącymi z kuchni do spiżarki czekało coś – lub ktoś. Kobieta złapała pogrzebacz leżący obok kuchni i dzierżąc świeczkę w drugiej dłoni, po cichu zbliżała się do drzwi. Szuranie za nimi było coraz intensywniejsze.

Nagle drzwi od spiżarki się otworzyły. Uniosła narzędzie w dłoni i już wzięła zamach, gdy stojący w nich człowiek wykrzyknął:





– Pani Alicjo, co też pani wyprawia tu o tej porze? – W ostatniej chwili złapał pogrzebacza.

– Pan hrabia! Co też pan wyprawia? Jak się pan tu znalazł?! – wydusiła z siebie, nie dowierzając, że stoi przed nią sam hrabia Koniecpolski.

– Nasz oddział przesunął się bliżej lasów węgrowskich, więc postanowiłem zajrzeć do domu i sprawdzić, czy wszystko u was dobrze.

– Panie hrabio! Dzięki Bogu, że pan żyje – odparła zdezorientowana Alicja, po czym dodała pośpiesznie: – A mój brat?! Co z nim?! Czy on żyje?!

– Tak, pani Alicjo. Ma się dobrze. Mieliśmy utarczkę z Moskalami dwa dni temu. Spotkaliśmy niewielki wprawdzie oddział, ale zaskoczyli nas w nocy. Pani brat wykazał się ogromną odwagą i zręcznością, odpierając ich atak i zabił... – Hrabia nagle urwał, uprzytomniwszy sobie, że ma do czynienia z kobietą.

– Tak, wiem, panie hrabio. On jest odważny, powiedziałabym, że czasem wręcz szalony... I tego się najbardziej boję... Nie musi się pan przy mnie krygować. Jako lekarz widziałam już niejedno ludzkie cierpienie i byłam świadkiem śmierci.

– A jak się macie? Jak moja żona?

Nim Alicja zdążyła odpowiedzieć hrabiemu, w kuchni pojawiła się hrabina Koniecpolska. Przystanęła w wejściu – ze świecą, w koszuli nocnej, na którą zarzuciła szlafrok.

– Och, mężu, to naprawdę ty? – Podeszła szybko do niego i rzuciła mu się na szyję, nie bacząc na to, czy ktoś obserwuje tę scenę. Odkleiwszy się zaś od męża, zaczęła go dokładnie





oglądać z każdej strony, jakby z obawy, czy nie natknie się na jakąś ranę. – Mój drogi Henryku, rada jestem, żeś cały i zdrowy. Twój niespodziewany widok napędza mnie ogromną radością. Zaraz... zawołam Agatę, niechaj przygotuje ci strawę...

Hrabina już miała odejść od męża i wołać kucharkę. Nim zdołała jednak ruszyć w kierunku służbówki, hrabia chwycił ją za ramię i zatrzymał:

– Walentyno, nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem. Przybyłem pod osłoną nocy i rano opuszczę dwór, nim pierwszy kogut zapieje. Pragnąłem cię tylko zobaczyć i sprawdzić, jak się sprawy mają.

Hrabina nie próbowała ukryć zdziwienia, które pojawiło się w jej oczach.

– Tak krótko? – Zaniemówiła na chwilę, ale szybko dodała: – Służba wszak i tak wie, co tu się dzieje, w co jesteśmy uwikłani. Przecież opatrujemy, ratujemy rannych powstańców, którzy do nas trafiają.

– Wielce jestem wdzięczny tobie, moja najdroższa, i pani Alicji – hrabia zatrzymał się na moment i spojrzał na gościa – za pomoc i służbę. Im jednak mniej osób będzie wiedziało o mojej wizycie dziś, tym lepiej. Nacieszmy się sobą, moja droga. – Spojrzał na żonę i przytulił ją mocno do piersi.

W Alicji obserwującej tę scenę poruszyło się serce. Z jednej strony czuła ogromną ulgę, że jej brat żyje, a z drugiej pojawiła się w niej nuta tęsknoty za czymś... a raczej za kimś.

Ocknęła się szybko i zaproponowała, że sama przygotowuje hrabiemu strawę. Wiedziała mniej więcej, gdzie jakie pokarmy ustawia kucharka, gdyż często zaglądała do kuch-





ni po zioła lub inne dary natury, które miały właściwości lecznicze.

Na koniec oddaliła się dyskretnie, zostawiając hrabinę i hrabiego samych. Ignacy żyje. To była dla niej najważniejsza wiadomość, która być może pozwoli jej dziś spokojniej zmrużyć oczy. Choć od dawna nie wysypiała się dobrze, zastanawiając się nieustannie, czy żyje ktoś jeszcze...





Rozdział 2

Podlasie, 30 stycznia 1863 roku

CHŁÓD SNUŁ SIĘ między drzewami, a słabe promienie słońca usiłowały przebić się przez gęstwinę. Powoli zapadał zmrok. Właśnie dobiegał końca słoneczny, choć mroźny dzień. Grupa około pięćdziesięciu mężczyzn czuwała ukryta w lesie. Większość z nich grzała ręce nad ogniskami. Ktoś kaszłał, ktoś inny podśpiewywał coś pod nosem, jakby usiłując bronić się przed snem. Z głębi boru co jakiś czas dobiegał odgłos sowy, która zdawała się ostrzegać przed niebezpieczeństwem mogącym nadejść w każdej chwili. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, ich światło rozświetliło nadciągającą ciemność.

Powstańcy ukryci w lasach nie mieli szans na spokojny sen. Musieli czuwać. Niepokój, niepewność, wycieńczenie – te uczucia towarzyszyły im od wielu dni.

– Ta klęska w Uniecku to zły omen – rzekł jeden ze starszych mężczyzn, siedzący wraz z czterema innymi pod potężnym świerkiem.

– Ludzie mówili, że tam były sceny niczym z Apokalipsy. Moskale otoczyli dwa domy, w których skryli się nasi, a później mordować zaczęli. Siedemdziesięciu pięciu naszych





wzięto do niewoli – opowiadał około pięćdziesięcioletni mężczyzna, urzędnik z Sokołowa.

– Skąd wiesz o takich szczegółach? To przecież żołnierze, a nie drwale. Jakiś honor rycerski powinien ich obowiązywać? – dopytywał niedowierzająco młodzian, który do powstania dołączył wraz z ojcem.

– Młody jesteś jeszcze i naiwny. Dobrze, że ideały rycerskie pielęgnujesz. Ale Moskał to zupełnie co innego. A kozak to barbarzyńca. Do wszystkiego to nędzne nasienie zdolne jest. Już widziałem, co robili z naszymi w Warszawie. Jaki terror tam wprowadzili. Ot, hrabia Koniecpolski wrócił ze swojego dworu, do którego trafił ocalony powstaniec z Uniecka. Ranny był i dowiedział się, że we dworze rezyduje uzdrowicielka...

– Pan Zboczyński mówi prawdę – odezwał się nagle wspomniany hrabia. Był mężczyzną postawnej postury, posługiwał się językiem pełnym dystynkcji. – Pan Bóg dał mi żonę i rodzinę chociaż na chwilę zobaczyć. Tam, we dworze, mają świeższe wieści niż my tutaj, ukryci w lesie. Dowiedziałem się, że powstańczy oddział bielski starł się z Moskałami pod Głinojeckiem. Wróg był znacznie silniejszy. Co więcej, dowodził nim Polak: Sierzputowski. Tak jak w Uniecku.

– Olaboga... zdrajca! – Dało się usłyszeć szept. Mężczyźni przeżegnali się z niemocy.

Hrabia wziął głęboki oddech i począł opowiadać, chodząc w tę i z powrotem, bo usiedzieć w miejscu nie mógł:

– Poszedł widać do Moskala, by bronić swoich interesów. Naszym oddziałem dowodził Wolski. Nakazał odwrót





do wsi Unieck. Liczono, że mieszkańcy tam pomogą się skryć, ale była to próżna nadzieja. Schowali się w Uniecku w kamiennych budynkach, ale Moskał nie ustępował, zaczął ich ostrzeliwać. Gdy powstańcy nie mieli już czym się bronić, w akcie desperacji ruszyli na znacznie liczniejszego nieprzyjaciela. Nie przebili się jednak przez pierścień karabinów i bagnetów. Gęsty ogień zmusił ich do odwrotu. W końcu Moskał podpalił domy... – Hrabia zamilkł na moment, próbując złapać tchu. – Większość powstańców spłonęła żywcem. Unieck spalono doszczętnie, a ranny Wolski trafił do niewoli.

– A dlaczego na wsi rodacy nie dali schronienia tym biedakom? – zapytał nagle jeden z mężczyzn, pochodzący z podlaskich włościan.

– Bo nie wszędzie ramię w ramię walczymy z Moskałem – odpowiedział hrabia. – Na Podlasiu w wielu rejonach czuć braterstwo. Ale w innych częściach Królestwa i Galicji włościanie powstania nie wspierają.

– To nic dziwnego. Jak pan jest ciemieżycielem, to dla chłopą nieważne, czy jarzmo pańskie, czy carskie nosi. Często to jest pretekst, by się na panu zemścić – zauważył pan Zbroczyński.

– Mówiłem już dawno, że pańszczyznę trzeba znieść – odezwał się wysoki mężczyzna bez lewej dłoni, z burzą jasnych włosów. – Bywałem tu i ówdzie w Europie. Widziałem, że w wielu miejscach włościanie są wolni.

– Pan Ignacy ma rację. Jeździł po świecie i zna jarzmo Moskala – dodał hrabia.





– Ścinałbym głowy wszystkim Moskalom! – krzyknął Ignacy, wyciągając nóż zza pazuchy i wymachując nim w powietrzu prawą dłonią, jakby wyobrażał sobie wroga przed sobą.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Zimno i zmęczenie mieszały się z humorem, który był ich tarczą przed koszmarem, w jakim się znaleźli.

– A co, jeśli Maniukin postanowi niszczyć wioski na Podlasiu, palić wszystko, cokolwiek napotka? – zapytał nagle pan Zbroczyński.

– Oddział księdza Brzóska zaatakował Łuków. Nasi zagarnęli dużo broni i amunicji od stacjonujących tam Moskali. Wprowadzie Brzóska musiał się rano dnia następnego wycofać, ale miasta żołdactwo rosyjskie nie puściło z dymem – zauważył jeden z partyzantów, szlachcic spod Węgrowa.

– Miast, gdzie stacjonują Moskale, nie warto atakować. To źle się kończy dla mieszkańców – oponował hrabia Koniecpolski.

Walenty Lewandowski, jeden z dowódców powstańczych na Podlasiu, stał na uboczu, obserwując swoich ludzi. Od jakiegoś czasu przysłuchiwał się rozmowom. Nagle podniósł głos:

– Pan hrabia Koniecpolski nie jest od oceniania dowódców! Niech to zostawi władzom powstania. Tak samo jak szykowanie taktyk. – Zbliżył się do hrabiego i poklepał go po ramieniu.

Hrabia obrzucił Lewandowskiego spojrzeniem pełnym lekkiej pogardy i odsunął jego dłoń.





Grupa mężczyzn milczała, wyczuwając narastające napięcie.

– Panowie, panowie! – Ignacy Rettel nagle wkroczył pomiędzy hrabiego i naczelnika. – To nie czas na niesnaski. Mamy wspólnego wroga, więc nie potęgujemy wrogości między sobą. Obaj chcecie dobrze, skupmy się na tym.

Napięcie nieco zelżało. Mężczyźni rozeszli się na swoje pozycje.

– Pan hrabia jest nieco sceptyczny wobec całego zrywu narodowego? – Lewandowski spojrzał pytająco na Koniecpolskiego.

– Panie naczelniku, bolały mnie od dawna wieści o niegodziwościach dokonywanych przez Moskali na naszych w cytadeli w Warszawie. Nie ma we mnie zgody na to, że carowie sobie Rzeczpospolitą przywłaszczyli! Żołdactwo naszych ludzi teraz też nie oszczędzi. Dwory są grabione, chłopci podburzani. Maniukin w Białostockiem głośno po wsiach rozpowiada, że imperator kazał powytępiać lasy i powyrzynać szlachtę. Podżega lud do rewizji dworów... Płaci nagrody tym, którzy łapią powstańców i dostarczają ich do jego obozu.

– To wypadki nieprzewidziane. A co pana, panie hrabio, skłoniło, by do powstania dołączyć i przybyć na Podlasie, skoro nie wierzy pan w jego powodzenie? – zapytał Lewandowski z zaciekawieniem.

– Na Podlasiu lud pielęgnuje dawne ideały rycerskości. Tu duch jest niezłomny! – odparł hrabia. – A poza tym... poza tym nienawidzę Moskala. Nienawidzę czasem i siebie... za to,





że muszę się z nim w stolicy układać, aby interesy rodzinne dobrze szły.

– O, tak, jak walczyć z Moskałem, to tylko z najlepszym oddziałem! – dołączył Ignacy, klepiąc hrabiego po plecach.

– Jak się bić, to z najlepszym! – krzyknęła grupa mężczyzn.

Lewandowski wyprostował się z dumą. Wiedział, że musi prezentować odpowiednią postawę, nie okazywać zwątpienia, przykryć hardą miną swój lęk. Palenie miast i wsi przez rosyjskie żołdactwo gasiło bowiem jego nadzieję na sukces narodowego zrywu. Musiał jednak dbać o morale i nie pozwolić, by szemranie popsuło ducha oddziału.

– Bogdaj wszystkich, wybijemy Moskali w pień! – krzyknął Ignacy, wymachując pistoletem.

– Do czorta! – powtórzyli za nim inni.

– Uciszcie się natychmiast! – rozkazał naczelnik. – Jeśli będziecie tak głośno, ściągniemy Moskali! To nie czas na walkę. Musimy się najpierw przygotować do bitwy. Choćby duchowo, jeśli nie jesteście uzbrojeni! – Po czym zwrócił się do Ignacego: – Wiem, że pan ma fantazję, ale proszę pohamować zapalczywość.

Powstańcy zamilkli i wrócili na pozycje, rozmyślając nad tym, co usłyszeli.

Ignacy podszedł do hrabiego Koniecpolskiego i zabrał go na stronę.

– Z panem długa droga, panie hrabio. Czy we dworze wszystko w porządku?





– Żona cała i zdrowa, zapewne pyta pan o siostrę. Alicja opatrywała rany powstańców, którzy trafili do dworu. Wieść się niesie o jej medycznych zdolnościach. To zacna niewiasta, ale żyje w ciągłym lęku o pana.

– Moja siostra to niezwykle dzielna kobieta, choć zastanawiam się, czy to, co przeszła, nie było zbyt wiele nawet dla niej...

– Bardzo przysługuje się nam swoją pomocą.

– Tak, ale ona ma też inne zobowiązania – westchnął Ignacy. – Ma córkę. Biję się w pierś, że może to przeze mnie wyjechała z Warszawy.

Nagle wśród zgromadzonych zerwał się szum. Zwiadowca nadbiegł, uspokoił oddech i wyszeptał:

– Panie naczelniku, Moskale są niedaleko. Idą drogą jakiegoś dwie mile stąd.

Lewandowski się zamyślił.

– Panowie, dziś nie czas na walkę. Gasimy ogniska i zajmujemy pozycje na wszelki wypadek. Będziemy strzelać, tylko gdy zaatakują.

Mężczyźni rozbiegli się po lesie, zajmując wyznaczone miejsca.

W powietrzu unosił się zapach prochu i metalu. Serce biło szybciej, gotowe na nadciągającą konfrontację. Zwiadowca był wyczerpany, więc do obserwacji drogi zgłosili się Ignacy i pan Zbroczyński. Gdy zbliżyli się do ścieżki, nasłuchiwali. W oddali słychać było rżenie kozackich koni i grzmoty rosyjskich armat.

Powstańcy wiedzieli, że może czekać ich ciężka walka. Byli gotowi bronić swojej ziemi – ale jeszcze nie dziś.





Rozdział 3

Konieczpole, luty 1863 roku

W LUTYM ZIMA, NIE chcąc ustąpić miejsca przedwiośniu, pokazywała swoje szkaradne oblicze. Śnieg stopniał, ale zaczęła pluć deszczem, ziebić lodowatym wiatrem, łamiącym gałęzie drzew. Nikt nie miał wątpliwości, że to ona nadal tu rządzi.

We dworze nikt jednak tego dnia nie myślał o kapryśnej pogodzie ani o napiętej sytuacji w Królestwie, na Litwie czy Galicji. Panowało tu poruszenie. Dom w Konieczpolu, choć na pozór spokojny, tętnił dziś niezwykłym ożywieniem. W kuchni od rana rozbrzmiewały niecierpliwe polecenia gospodyni, Agaty. Służba uwijała się jak w ukropie, z trwogą i gorliwością, jakby od ich starań zależał los całego domostwa.

Kuchnia, zwana wielką izbą, zwykle cicha i obfitująca w wonie suszonych ziół, dziś rozbrzmiewała brzdękiem porcelanowych talerzy i szelestem krochmalonych obrusów. Marysia, najmłodsza z dziewcząt, z trudem dźwigała kosz pełen świeżo upieczonych bułek, a jej policzki płonęły rumieńcem nie tylko od żaru pieca, lecz także od podniecenia. Zerkiała co rusz ukradkiem na drzwi.

W salonie, gdzie przodkowie uwiecznieni na portretach spoglądali surowo ze ścian, pani domu – hrabina Walentyna –





doglądała ostatnich przygotowań. Jej jedwabna suknia szeleściła cicho, gdy z niepokojem poprawiała ustawienie lichtarzy. Sprawdzała też, czy na stole nie brakuje żadnego z rodowych sreber.

Tego dnia pani Walentyna była wszędzie. Jej kroki rozbrzmiewały echem po korytarzach, a głos, zwykle łagodny, nabrał stanowczości i surowości. Przechadzała się z kuchni do salonu, z salonu do jadalni, nieustannie poganiając służbę, jakby sama była duchem niespokojnym, który nie może zaznać wytchnienia.

– Marysiu, szybciej, dziecko, nie mamy całego dnia! – upominała dziewczynę, która właśnie wbiegła z tacą do salonu. – I nie zapomnij o konfiturach z wiśni, syn mój bardzo je sobie ceni. Franciszku, czy pościel w gościnnych pokojach już zmieniona? – pytała starego lokaja, który z szacunkiem pochylał głowę, zapewniając, że wszystko jest gotowe.

Z głębi dworu wyłoniła się właśnie Alicja. Szła pośpiesznym krokiem do kuchni, zapinając w drodze haftki pod szyją. Nie zauważyła, co się dzieje, bo jej myśli zaprzętał jeden cel: udać się do kuchni i napić ziół. Bolała ją głowa, czuła się otumaniona. W nocy nie mogła zasnąć, dręczyły ją niepokojące myśli. Dopiero gdy wypila kilka kieliszków nalewki, udało jej się na cztery godziny zdrzemnąć. Rano, wstając z łóżka, czuła się jeszcze gorzej, dlatego postanowiła wejść do kuchni bocznym wejściem, by pozostać jak najmniej zauważoną.

Jakież było jej zdziwienie, gdy dostrzegła, że w kuchni panuje niecodzienny rwetes.





– O, pani Alicjo! – wykrzyknęła Agata. – W czym mogę szanownej pani usłużyć?

– Przyszłam po swoje zioła – odparła ospale Alicja, zaskoczona widokiem kuchennego gwaru. – Co się tu dziś dzieje, że taki ruch i hałas?

– Pani szanowna nic nie wie?

Alicja pokręciła głową.

– Panicz Koniecpolski dziś do dworu zjeżdża – powiedziała gospodyni. – Przybędzie ze swoją małżonką amerykańską małżonką.

– Jeszcze jej tu u nas nie było – dorzuciła Marysia, rozkładając bułki na porcelanowych talerzach.

Alicja na moment się zamyśliła. Może hrabina wspominała coś ostatnio, lecz ona nic z tego nie zapamiętała. Poinstruowana przez kucharkę, gdzie znajdują się jej zioła, podeszła do kredensu, otworzyła flakonik i spożyła kilka łyżeczek melisy. Nie poczuła natychmiastowej ulgi, ale liczyła, że nadejdzie szybko. Ruszyła szybkim krokiem do salonu. Nie miała dziś wyjątkowo ochoty na zagadywanie przez służbę czy słuchanie, co kogo boli.

Nie dało się jednak tak łatwo przemknąć i zniknąć. W korytarzu napotkała panią Walentynę. Hrabina miała misternie upięte włosy, loki opadały gładko przy policzkach, a jej twarz muśnięto nieco mocniej różem. Ku zdziwieniu Alicji gospodyni przywdziała dziś nie czarną, lecz granatową suknię z białymi, koronkowymi wykończeniami wystającymi znad gorsetu. Czarna z pewnością dodawała dostojeństwa, jednak w obliczu zaistniałej sytuacji





granatowa – przypominająca wręcz szafir – stanowiła miłą dla oka odmianę. Obok hrabiny stała już jej córka Augustyna, którą matka strofowała, aby ciaśniej zawiązała gorset.

– Pięknie pani wygląda, hrabino – rzekła Alicja zdumiona i zarazem urzeczona widokiem. – Jakże wyjątkowo!

– Mam dziś zacy powód, by rzucić z siebie czern – zaznaczyła Walentyna.

Alicja wiedziała, że Adam jest dumą i największą troską matki. Sama to doskonale rozumiała. Nie było dnia, by nie myślała o swojej córce.

Lekarka aż zazdrościła hrabinie, która umiała oderwać myśli od tego wszystkiego, co się działo dookoła. A może to właśnie był jej sposób na radzenie sobie z lękami?

Walentyna bowiem czekała na ten dzień, a teraz, gdy był już tak blisko, każda niedoskonałość wydawała się grozić skandalem. Chciała, by wszystko było idealne, by synowa poczuła się tutaj jak w domu, a Adam – jak zawsze – mógł być dumny z rodzinnego gniazda.

Alicja rozumiała to, lecz jej myśli wciąż błądziły gdzie indziej. Słyszała wczoraj w nocy, jak stangret rozmawiał szeptem z ogrodnikiem o oddziałach powstańczych widzianych w pobliskim borze. W powietrzu wisiało napięcie, które ona czuła w każdej komórce swego ciała, i nie rozpraszało tego wrażenia nawet zapach świeżo parzonej, porannej kawy.

Wysokińska pośpiesznie umknęła do swego pokoju, postanowiła się lepiej przygotować. Nie wypadało nie przywitać się z młodym dziedzicem Koniecpola. Nauczona samodziel-





ności i niechętna nadmiernej asyście służących, zazwyczaj wolała radzić sobie sama. Tym razem jednak zawołała do siebie Urszulę, służącą, którą hrabina jej przydzieliła. Uznała bowiem, że należy wyglądać wyjątkowo.

Dziewczyna przybiegła co sił w nogach. Nie tylko podziwiała gościa, ale też czuła do niego respekt. Dla niej Alicja była uzdrowicielką, kobietą o tajemnych mocach. Urszula widziała, jak zręcznie zszywała rany powstańca, gdy lokaj Franciszek świecił światłem.

– Czy mogę pomóc pani ułożyć włosy? – zapytała służka niepewnie, stojąc przy drzwiach.

– Boisz się mnie? – zapytała otwarcie Alicja.

Służąca szybko pokręciła głową.

– Ależ nie, wielmożna pani – odpowiedziała, chwytając szpilki i srebrną szczotkę z toaletki. Przystąpiła do układania loków i upinania skrętów. – Jaśnie pani ma takie piękne, złote włosy. Nigdy wcześniej takiego koloru nie widziałam – odezwała się z zachwytem. – Myślałam, że to rudy, ale to bardziej złoty.

– Nie lubisz rudych?

Służąca się zmieszała.

– Nie to, że nie lubię, ale ludzie we dworze gadają... – zawahała się.

– Co gadają? Że jestem wredna?

– Nie... Że pani ma niezwykle moce, jest uzdrowicielką, ale potrafi też rzucić urok – wyznała nieśmiało.

Alicja prychnęła śmiechem.

– Zapewniam, że nie mam takich zdolności.





– Ale pani potrafi uzdrawiać. Widziałam, jak kiedyś zszywała rannego powstańca, jak dziecko Chobokowej uleczyła, jak Jędruszczaaka bólu zęba pozbawiła. Pani ma takie moce jak babka z lasku koniecpolskiego, do której czasem się udaję po radę. – Urszula była coraz śmielsza.

– Temu człowiekowi po prostu zszyłam ranę – odpowiedziała spokojnie Alicja. – To była interwencja chirurgiczna. Dziecku zbiłam gorączkę zimnymi okładami, a Jędruszcza-kowi ząb wyrwałam. To żadna tajemnica...

– Ale pani jest kobietą i ma takie zdolności... Jak szanowny pan doktor Wilczyński. Tylko że on jest mężczyzną. Nam chłopcy na wsi gadają, że każda baba rozum ma ograniczony.

– A ty w to wierzysz?

– Tak ja myślałam do niedawna, ale jak na panią wielmożną tak patrzę, to zdaje się mnie, że prawdy te nasze chłopcy nie gadają.

Alicja wzdrygnęła się na wspomnienie doktora, który nie mógł pojąć, jak kobieta może leczyć ludzi. Postanowiła szybko odpędzić te myśli.

– W moim życiu pojawiła się kiedyś wyjątkowa kobieta. Odbyłam z nią daleką podróż do Hiszpanii, a podczas przeprawy statkiem pomogła mi odebrać poród pewnej Żydówki.

– Olaboga! – wykrzyknęła zdumiona służka. – Ależ pani jest światowa!

– Ta kobieta służyła mi jak siostra. – Alicja spojrzała na Urszulę, która przypominała jej dawną przyjaciółkę. Służąca miała kruczoczarne włosy, szczupłą sylwetkę i zadarty nos. Alicji zrobiło się ciepło na sercu, uśmiechnęła się pod nosem.





Jednak jej myśli szybko wróciły do rzeczywistości. Na zewnątrz zrobiło się głośno, na podjeździe rozległ się stukot kopyt. Urszula właśnie skończyła układać fryzurę Alicji i rzuciła się do okna.

– Ach! Panicz przybył! – wykrzyknęła.

Alicja, zadowolona z misternie upiętych włosów i całego wyglądu, zaszeleściła suknią z czarnego jedwabiu, poprawiała koronkę przy szyi i wstała od toaletki. Dała Urszuli znak, że może się oddalić.

Stary lokaj Franciszek poprawił surdut i ruszył ku drzwiom wejściowym, a reszta służby rzuciła się do okien. Pani Walentyna spojrzała na zegar. Była gotowa, choć serce biło jej szybciej niż zwykle. W myślach powtarzała modlitwy, prosząc o spokój dla domu i wszystkich, którzy mieli dziś przekroczyć jego próg.

Lokaj wyszedł przed dwór i przyspieszył kroku, aby otworzyć drzwi powozu. Za nim wyszły hrabina i służba. Alicja postanowiła poczekać w przedsionku; w końcu nie była gospodarzem, lecz tylko gościem, ale nie wytrzymała ciekawości i wyszła za próg.

W szarudze deszczowego dnia ujrzała niecodzienne na prowincji zjawisko: mężczyznę w eleganckim surducie o wąskiej talii, z jedwabnym krawatem i cylindrem, oraz towarzyszącą mu młodą kobietę w modnej sukni na krynolinie, z koronkową parasolką i jedwabnymi rękawiczkami. Jej fryzura była upięta zgodnie z najnowszymi trendami francuskiej mody. Tkany ich ubrań połyskiwały w słabym świetle, a subtelny zapach francuskich perfum przebijał przez nieznośną mżawkę.





Para czym prędzej ruszyła ku wejściu.

– Cóż to za błoto! Cóż za pogoda! – wydobył z siebie pierwsze słowa Adam.

Hrabina przez chwilę wstrzymała oddech, patrząc na syna, w którym rozpoznała zarówno chłopca, którego żegnała przed laty, jak i mężczyznę ukształtowanego przez świat zachodniej Europy, a także Amerykę. W jego postawie czuć było dystynkcję i pewność siebie. Matka martwiła się o niego niegdyś bardzo, gdyż prowadził hulaszczy tryb życia. Z ostatnich listów, jakie do niej pisał, wynikało, iż ustatkował się nieco. Pani Walentyna przyczynę tegoż spokoju upatrywała w pojęciu małżeńskim.

Syn podszedł do matki, zdjął cylinder i pocałował jej dłoń. Jego żona z wdziękiem i powściągliwością wykonała delikatny ukłon, rozglądając się z zaciekawieniem po dworze – budynku parterowym, o bielonych ścianach, z użytkowym poddaszem i ganku wspartym na kolumnach, otoczonym starym parkiem pamiętającym lepsze czasy. Zapanowała cisza, którą przerwał Adam:

– Witam, matko!

– Synu, jestem taka rada, że cię widzę! – Ucisnęła jego dłoń. – I twoją nadobną małżonkę – dodała, spoglądając na synową, która dygnęła z godnością. Była córką wielkiego plantatora bawełny, ledwo mówiła po polsku.

Alicja obserwowała tę scenę i na moment uderzyła ją myśl, że oto właśnie moda i zwyczaje Zachodu spotykają się z polską rzeczywistością czasów powstania. Francuska elegancja kontrastowała z surowością okupowanego kraju.





Przybyła para jawiła się jak kolorowe ptaki na tle szarugi i politycznych zawirowań. Synowa Walentyny miała na sobie suknię w kolorze głębokiego burgundu, jaki Alicja najczęściej widywała u ciotki Aurelii.

– Synu, pozwól, że ci przedstawię naszego gościa – zwróciła się hrabina do syna, przerywając Alicji rozmyślenia nad wyjątkowością tej sceny. – To pani Alicja Wysokińska, gość naszego dworu i... lekarz.

Stanisław podszedł i świdrującym wzrokiem spojrzał wnikliwie w niebieskie oczy Alicji.

– Ach, lekarz! Kobieta! – wymamrotał pod nosem. – Coś niesamowitego – rzekł i pocałował Alicję w dłoń. – Musi pani koniecznie opowiedzieć więcej – zwrócił się do niej, po czym przedstawił swoją towarzyszkę: – To żona moja, Vivien. – Spojrzał na nią z dumą.

Młoda kobieta znów dygnęła.

– A gdzie jest ojciec, szanowna mamó? – zapytał Adam.

– Wyjechał – odpowiedziała hrabina Walentyna i nerwowo przełknęła ślinę.

– Wyjechał... – powtórzył syn z podejrziwym uśmiechem.

Przeszli szybko do środka, gdyż pogoda nie sprzyjała dłuższym rozmowom na zewnątrz. Weszli do przestronnego salonu z wysokimi oknami. Na stole, nakrytym białym obrusem z haftem, stał wazon z suszonymi kwiatami, a srebrne sztucce połyskiwały w świetle. Goście i domownicy zajęli miejsca zgodnie z hierarchią: syn po prawicy matki, synowa po lewej stronie.





Służba uwijała się jak w ukropie. Dyrygowana dziś przez ochmistrzynię Franciszkę wniosła pierwsze danie: rosół z kaszką przecieraną, aromatyczny, z pływającymi kawałkami marchewki i natką pietruszki. Do tego podano paszteciki z siekanych mięs, przyprawione pieprzem i gałką muszkatołową, chrupiące na zewnątrz.

– Jak wam minęła podróż? – rozpoczęła konwersację pani domu.

Alicja, siedząc z boku, wyczuwała podskórnie napięcie w głosie matki, która zagaiła syna. Wzięła do ust kilka łyżek zupy, ale momentami ciężko było jej cokolwiek przełknąć, gdy jej myśli powędrowały do Ignacego. Zastanawiała się, czy on i jego kompania mają co jeść.

– Może się mama domyślić, że był to karkołomny wyczyn. Przybycie tu, z Paryża, to istny cud wobec tego, co się dzieje.

– Wielką mi radość sprawiłeś listem informującym o waszej wizycie. Zaraz jednak pomyślałam, że to w obecnych warunkach nie jest bezpieczne. Przeżywałam katusze, myśląc o waszej podróży. Lepiej może było tam zostać...?

– Zewsząd żandarmi, kontrole. Zatrzymano nas raz, ale przyjęto wyjaśnienie, że udaję się sprawdzić, co się dzieje w rodzinnym majątku. Vivien najadła się strachu. W jej stanie zaś... to niewskazane. Jest przy nadziei – wypalił nagle Stanisław.

Hrabina, wzruszona tą wiadomością, uściśnęła synową, wyrażając szczere gratulacje i radość.

Po twarzach służby również przemknął uśmiech. Od dłuższego czasu we dworze brakowało dobrych wiadomości.





Informacja o ciąży młodej hrabianki była jak światło w tunelu. Alicji też udzieliła się ta radość.

Po zakupie Franciszka zarządziła podanie na stół sztuki mięsa z pieca – wołowiny z chrzanem. Wybór dań był skromniejszy niż zazwyczaj, gdyż w normalnych okolicznościach obok wołowiny zaserwowano by kaczkę z kalarepą, rumianą i delikatnie polaną sosem z masła i świeżych ziół. Dla miłośników ryb przygotowywano zawsze sandacza, również z rumianym sosem.

Dziś zaś na półmiskach leżały pieczone ziemniaki, marchewka i buraki, a także domowy chleb. Po warzywa ochotczy sięgnęła młoda małżonka hrabiego, która ze względu na swój stan nie miała ochoty kosztować wołowiny.

– Szanowna pani Alicja długo gości we dworze? – zwrócił się do niej hrabicz Adam.

– Będzie z kilkanaście dni... – odpowiedziała niepewnie i przełknęła łyk herbaty podanej przez służącą.

W zasadzie sama straciła już rachubę czasu. Nie wiedziała też, na ile może sobie pozwolić na szczerość – na ile młody dziedzic był wtajemniczony w sytuację, jaka zaistniała od połowy stycznia w Kongresówce i rozlała się na Galicję.

– Będzie tyle, ile trwa już to zbiorowe szaleństwo – odparł Adam z przekąsem w głosie.

– Pani Wysokińska towarzyszy mi we dworze, jest moim prywatnym lekarzem – szybko wtrąciła hrabina.

– Lekarzem...? A gdzie pani pobierała nauki, w dodatku jako kobieta? Nawet w Paryżu niewiast jeszcze na Sorbonę nie wpuszczają, choć coraz głośniej mówi się o tym, że dojdzie do





tego. Czy naprawdę dysponuje pani umiejętnościami i kwalifikacjami, aby zajmować się moją matką?

Alicja w duszy musiała powściągnąć emocje.

– Szanowny pan hrabia niech spokojny będzie. Nie ma powodu podejrzewać mnie o szarlatanerię. Ukończyłam medycynę na Akademii Medyko-Chirurgicznej – odparła z dużą dozą pewności.

– To zacna uczelnia, otwarta przez cara w Warszawie. Do jakiegoż to podstępu szanowna pani się uciekła, by móc tam studiować?

– Och, Adamie, dajże już spokój. Nie martw się o moje zdrowie. Jestem w najlepszych rękach. Pani Alicja jest wdową po doktorze Wysokińskim, razem praktykowali. – Hrabina złapała syna za rękę, zerkając na Alicję.

– Ach, tego doktora Wysokińskiego, którego sława niosła się po całej Warszawie, a może i dalej. – Młody hrabia spojrzał teraz na Alicję z szacunkiem, jakby wiedza o tym, czyją była żoną, podnosiła jej rangę jako lekarza. – Rozumiem, matko, że doktor Wilczyński, który czasem zajeżdżał do dworu, nie okazał się na tyle biegły w swym fachu, by troszczyć się o zdrowie mamy?

– Och, Adamie! *Calm down* – wtrąciła się Vivien, łapiąc męża za dłoń i prosząc go o uspokojenie się. Nie mówiła dobrze po polsku, ale sporo już rozumiała i wyczuła kontekst rozmowy. – *Miss Alicja is great lady* – powiedziała, chcąc podkreślić, jak zacną kobietą jest gość dworu w Koniecpolu. Uśmiechnęła się szczerze do Alicji, łagodząc nieco atmosferę i stopując męża w jego sądach.





– To zapewne był pomysł ojca, by sprowadzić tu lekarza. Imaginuję, że musi ci być duchowo ciężko wobec tylu niepokojów w okolicy. W dodatku zostałam sama ze wszystkim...

– Synu, nie zostałam ze wszystkim sama... Twój ojciec wyjechał i wróci niedługo...

– Wyjechał? – Adam popatrzył znacząco na matkę. – Niech mama skończy z tą szopką, nie musi mnie mama okłamywać.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! – Hrabina z impetem uderzyła ręką w stół, aż srebrne sztucce i porcelana się zatrzęsły.

Alicja podskoczyła. Napięcie ponownie zaczęło rosnąć.

– Mamo, domyślałam się, gdzie poszedł ojciec. Nie wiem tylko, na ile mogę tu swobodnie mówić. Służba nie powinna być w to wszystko wtajemniczona.

– Jest wtajemniczona... – szepnęła hrabina pod nosem. Uznała, że zapieranie się byłoby nieroztropne, bo stąpa po kruchym lodzie.

– Ojciec poszedł na wojnę, nie zważając na to, że ona nie ma większego sensu. Car zdławi powstanie. Nie wiecie, co się dzieje dookoła?

– Trwa walka... – odezwała się zniecierpliwiona Alicja.

– Moskale zabijają, palą wsie, buntują chłopów, a ci przeciwni panom występują...

Alicja zbladła na te słowa, dreszcze przebiegły jej po ciele, a myśli znowu powędrowały do Ignacego. Hrabina się przeżegnała.

– To musi w końcu przynieść skutki, ofiara nie może być daremna. Moskale zostaną przepędzeni – powiedziała i upiła łyk herbaty.





– Tak, matko, ojciec też mi to powiedział. On i inni buntownicy w swojej naiwności liczą na to, że Francja przyśle odsiecz. Ale to błędne założenie. Cesarz Napoleon III ma w kraju własne problemy i nie ośmieli się sprzeciwić carowi Aleksandrowi II.

– Proszę tak nie mówić o powstańcach. To nie buntownicy, oni walczą o wolność! – Alicja nie wytrzymała i przemówiła gniewnym głosem.

– O wolność? – rzucił z sarkazmem hrabicz. – Czy naprawdę walczą? Może kosami i sierpami, które wynoszą z folwarków albo chłopom odbierają? Poszli nieprzygotowani do powstania. Trzeba było inaczej się układać z carem, a nie iść na noże.

– Pan hrabia popiera politykę Wielopolskiego zapewne. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że polityka ustępstw wobec Rosji nie powstrzymuje rozlewu krwi. Widziałam w warszawskim szpitalu polskich patriotów, przywożonych z cytadel, udręczonych do granic wytrzymałości. Wiem, do czego Moskał jest zdolny – mówiła podenerwowana Alicja. – Byłam świadkiem, jak od matek zabierano synów, młodych chłopców, zmuszano ich do służby carskiej. Po Warszawie rozeszła się wieść, jak młodego pana z wesela próbowano zabrać, bito bez miłosierdzia, gdy stawiał opór. Moskał nie zważał na błagania młodej żony czy matki. Jak pan hrabia wyobraża sobie układanie się z carem w takich warunkach?

– Do branki w styczniu by nie doszło, gdyby Polacy się z carem porozumieli. To tylko konsekwencja oporu, zamiast rozmyślnego działania i planu na spokojne i taktyczne oswo-





bodzenie Rzeczypospolitej. Wielopolski jest wizjonerem i wie-
dział, co robi.

Hrabina spojrzała na syna z niemałym zdziwieniem. Nie
dowierzała temu, co przed chwilą usłyszała.

– Pan hrabia nazywa zdrajcę Wielopolskiego patriotą?
Widać, że w tym Paryżu panu rozum odebrało – wypaliła
Alicja.

Adam spojrzał na nią zdumiony. Nie przywykł do takiej
poufałości ze strony białogłowy, do tego zupełnie obcej.

– Z perspektywy światowej inaczej to wygląda, szanow-
na pani Wysokińska. Muszę jednak przyznać, że śmiałość
pani imponuje. – Pokręcił głową, manifestując sarkazm.

– Też jeździłam po świecie i wiem, jak to wygląda.

Hrabicz był zaskoczony; nie spodziewał się spotkać
w domu rodzinnym tak rzutkiej kobiety. Jego siostra Augu-
styna, jak przystało na powściągliwą niewiastę, siedziała przy
stole i przysłuchiwała się rozmowie. Vivien, znając charakter
męża, postanowiła zapobiec dalszemu rozwojowi konfliktu.

– Ach, słabo mi! – odezwała się nagle po polsku.

Adam zerwał się i objął żonę ramieniem.

– Tak, najdroższa, zaprowadzę cię do sypialni, abyś mo-
gła odetchnąć. Pewnie ta droga cię zmęczyła.

Nagle, pośród poruszenia spowodowanego słabością Ele-
onory, do jadalni wszedł pośpiesznym krokiem lokaj.

– Franciszku, co się stało? Jesteś biały jak śmierć na
chorągwi.

– Szanowna pani... Szanowna pani... Przywieziono... ran-
nego.





– Kto to taki?

Alicja, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, zerwała się od stołu i pobiegła, potykając się niemal o swoją czarną suknię. Serce biło jej coraz szybciej, a nogi zrobiły się miękkie. Wypadła przed dwór. Po jego prawej stronie, pod gołymi konarami dwóch rosnących obok siebie lip stał wóz.

– Pomocy! – krzyknął woźnica.

Wysokińska zadrżała. Dostrzegła, że na wozie spoczywa przykryty derką człowiek. Obawiała się najgorszego. Struchlała na myśl, że pod przykryciem może spoczywać... jej brat.





Rozdział 4

Wyspa Tabarca, 1854 rok

WILGOTNY, GRYZĄCY ZAPACH stęchlizny i potu unosił się w powietrzu. Przez zakratowane okno zaczął się sączyć błydy promień porannego światła, ledwie rozjaśniający kamienne ściany celi. Na brudnej pryczy, przykryty podartą derką, leżał młody mężczyzna. Twarz miał opuchniętą, z rozciętym łukiem brwiowym i zaschniętą krwią na policzku. Każdy ruch sprawiał mu ból, ale to nie rany fizyczne bolały najbardziej.

Otworzył oczy, lecz nie był w stanie dostrzec wiązki światła. Otaczała go ciemność. Okrutna ciemność. Zaraz potem przeszedł go dreszcz. Sam nie wiedział, jak długo tu był. Stracił rachubę czasu. Był pewien jednego – tego, że zabrano mu wolność, uwięziono. Wsadzono go do karceru po tym, jak odbił brata z rąk żołnierzy rządowych. Zawsze po przebudzeniu w więziennych murach świadomość powracała mu powoli. Przez myśl przemknęły obrazy z odległego kraju – młoda kobieta trzymająca dziecko na ramieniu.

– Alicjo... – wyszeptał i jęknął.

W oddali rozległy się szczyk kluczy i krzyki strażników. Pamięć wracała coraz szybciej. Noc, uwolnienie brata, zdrada, pojmanie, a potem brutalne przesłuchanie. Był karlistą.





Chciał przywrócić Hiszpanii prawdziwego króla, a zamiast tego trafił w ręce ludzi królowej Izabeli II. Tej, przeciw której nigdyś wystąpił.

Wyszeptał imię żony. Zobaczył jej twarz – jasne włosy, duże niebieskie oczy, uśmiech kojący każdy lęk. Była daleko, w Warszawie, w Królestwie Polskim, kraju rozdartym przez zaborców, gdzie tęsknota i nadzieja spletały się w codzienności. Ich córeczka... ledwie co się urodziła, a już musiał ją opuścić. Zaczął się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek ją ujrzy. Ta myśl przyniosła mu większy ból niż cierpienie z powodu ciężkiego stanu organów wewnętrznych.

Próbował się podnieść, lecz ból przeszył mu żebra. Przypominał sobie, jak strażnicy bili go, pytając o współników. Milczał. Poprzysiągł sobie, że nawet nie piśnie, gdy będą dawali mu ból fizyczny. Nie to zresztą było dla niego najtrudniejsze do zniesienia. Najwięcej cierpienia sprawiał mu niepokój o losy tych, których kochał. O siebie martwił się najmniej. Wiedział, że zdrada to śmierć – nie tylko dla niego. Ściągnąłby nią zagładę na brata Alejandra, którego ledwo uwolnił, a może i na ukochaną i dziecko, pozostawione w Warszawie.

W więzieniu nie było litości. Słyszał, jak inni więźniowie, skuci łańcuchami, byli wyprowadzani na ciężkie roboty. Budowali fortyfikacje, kopali rowy. W tym miejscu człowiek stawał się narzędziem, numerem, cieniem.

Zamknął oczy, próbując uciec myślami do domu. Widział Andalużję, Sewillę i ich winnice. Rodziców śmiejących się przy stole. To wspomnienie napełniło go ciepłem. Wspominał też Warszawę, Królestwo Polskie, przez które przejeżdżał.





Rozległe pola, bociany rozpościerające skrzydła wiosną, woń świeżego, polskiego chleba, zapach skóry noworodka, włosy żony, w które tak lubił się wtulać – złote jak łany pszenicy i pachnące jaśminem.

Przysięgał sobie, że przetrwa. Dla nich – dla żony czekającej na wieści, dla córki, która może kiedyś zrozumie, dlaczego jej ojciec wybrał walkę, a nie spokojne życie przy niej. W ciszy lochu, pośród bólu i upokorzenia, rodziła się w nim nowa siła. Powtarzał, że jeszcze nie czas na rezygnację. Ma bliskich, rodzinę, dla której warto żyć i walczyć.

Czasami, tkwiąc w lochu, zastanawiał się, jaki jest dzień, miesiąc. Przed oczami nagle pojawił mu się obraz:

- Muszę już iść.
- Proszę, zostań jeszcze chwilę. Pozwól mi zapamiętać zapach twojej skóry, twoich ust – szeptała do niego, nie mogąc się oderwać.
- Chcę położyć cię jak pieczęć na moim sercu, porwać cię i naszą córkę i wywieźć gdzieś daleko. Powiedz tylko słowo, a uczynię to – mówił, ocierając łzy.

Nigdy nie zdarzało mu się płakać, ale pożegnanie z żoną wyzwoliło w nim najgłębsze pokłady smutku, żalu i frustracji.

– Wiesz, że tak nie można. Musisz wrócić do swojego kraju, do domu, do Hiszpanii i uratować brata, wspomóc towarzyszy. Wiem, że gdybyś tego nie zrobił, nie darowałbyś sobie do końca życia. Znam cię...

– Ty... wy teraz jesteście moim domem. Powiedz tylko słowo, że mnie potrzebujesz, że chcesz, abym został,

